

ISKRY CZASOŚWIATU

KRZYSZTOF BONK



ISKRY CZASOŚWIATU
KRZYSZTOF BONK

Redakcja i korekta: Dawid Wiktorski

Projekt okładki: Agnieszka Radzięda

Konwersja wydania elektronicznego: Tomasz Semmler

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7853-440-2

Wydawnictwo: self-publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone

e-wydanie pierwsze 2017

Kontakt: krzysztofbonk.poczta@gmail.com

CZĘŚĆ I

ISKRA NISZCZYCIELA

I. ALEX

Ogień łakomie pochłaniał szczapy drewna w kominku, oplatając się wokół nich niczym namiętny kochanek. Romantyczny nastrój, bijący od tańczących płomieni, udzielał się kochającej się parze. Mężczyzna i kobieta, nadzy, na niedźwiedziej skórze, zanurzali się w rozkoszy płynącej z połączenia swych ciał. Ich mięśnie pracowały miarowo. Zroszona cienką warstwą potu skóra lśniła w blasku ognistych języków, co raz wysuwających się z wnętrza kominka, zupełnie jakby te, chciały dołączyć do wspólnej miłości kochanków.

Alex przebudził się niedługo po brzasku. Usiadł i silnie przetarł zaspane oczy. Pochwycił stojącą na podłodze napoczętą butelkę z czerwonym winem i wyciągnął korek zębami. Zaciągnął się przebogată zapachową nutą, pobudzającą wszystkie zmysły. Pogładził dłonią czule, niczym kochankę, szklane naczynie. W końcu dopiął swego. Mógł pozwolić sobie na wyszukany rocznik wyrafinowanego trunku, nie bacząc, ile go kosztował. Przeniósł wzrok na śpiącą kobietę. Uśmiechnął się zadowolony – mógł sobie pozwolić na wiele, nie tylko wino.

Odłożył butelkę i wstał. Jego gołe stopy odczuły chłód ceramicznego parkietu. Ogień w kominku zdążył przygasnąć. Wypalił się podobnie jak

pożądanie Alexa. Mężczyzna raz jeszcze popatrzył na kobietę, lecz już bez wczorajszego entuzjazmu. Udał się do ściany swego ekskluzywnego apartamentu, aby podkręcić termostat. Ciepło na powrót zawitało do salonu. Podobnie i on liczył, że do czasu nadchodzącej upojnej nocy naładuje swoje akumulatory.

Sprzed nowo zakupionej posiadłości na przedmieściach ruszył sportowym wozem. Prowadził życie, w którym stale gnał do przodu, zrywał pożądane owoce, gdzie najbardziej łaknął tych zabronionych. Ot, choćby jak Alicji, żony byłego współnika w interesach, z którą spędził noc. Cóż, taki właśnie był – lubił pogrywać nie do końca czysto. Otwierało to dodatkowe możliwości, poszerzało perspektywy. Skutkowało tym, że obchodząc krępujące reguły, można było wybić się na szczyt i pławić się w luksusie i władzy. Co z tego, że po drodze należało spuścić do rynsztoka paru naiwniaków? Ot, ofiary globalizacji, jak mawiał jego były szef.

Alex stanął na światłach. W swoim Ferrari przypomniał sobie o audycie w starej hucie metali, który miał od dawna przeprowadzić, a na który nie pozostało już zbyt wiele czasu. Spojrzał w lusterko i ustawił je pod kątem, aby zobaczyć swe odbicie. Tak, był draniem, tego nie dało się ukryć. Ale ten jeden raz zrobi coś dla ludzi, żeby mógł spokojnie spoglądać w swą przystojną twarz. Stara huta metali to część historii tego miasta, mieszkańców i wreszcie jego i jego rodziny. W porządku, był draniem, przyznał się, ale nie był nim na wskroś. Uczyni, co w jego mocy, aby przywrócić fabryce rentowność. Nie dopuści do jej upadłości. Z tą myślą przeczesał krótkie, modnie ostrzyżone blond włosy.

Aby skierować się w stronę huty, powinien skrócić w lewo. Podrapał się niefrasobliwie po karku. Może zajrzy tam jutro. Tak, na pewno. W każdym

razie postara się. Ciężko westchnął. Tego dnia górującym w grafiku priorytetem było udanie się na rozmowy z akcjonariuszami. Czas wybrać prezesa, nie dopuścić, aby ktoś inny niż on, posadził na prezesowskim stołku swój zad.

Ruszył przez skrzyżowanie z piskiem opon. Nagle jego Ferrari doznało potężnego wstrząsu, aż okręciło się wokół własnej osi.

W powyginanym kawałku złomu, mieniącemu się przed chwilą sportowym wozem, otworzyły się drzwi. Wśród ogłuszającego wycia alarmu Alex z trudem wyczołgał się na zewnątrz wraku. Wirowało mu w głowie. Z rozciętego policzka obficie ściekała krew. Coś dławiło go w płucach. W tym całym chaosie z przerażeniem dotarło do niego, że nie czuł nic od pasa w dół.

Błagalnym wzrokiem powiódł po okolicy. Był piękny, słoneczny dzień, a on w centrum wielkiej metropolii. Nie zauważył jednak wokół zbierających się ludzi. Jedyne samotną, ludzką sylwetkę, a w jej dłoni pistolet. Jego lufa została wymierzona Alexowi prosto między oczy.

– I co tam, panie „pakiet większościowy”? – Do Alexa dobiegł głuchy, zniekształcony głos. – Czas na zmianę w zarządzie, śmieciu. Tym razem definitywną. – Niewyraźne dotąd zarysy otoczenia nabierały kształtów. Alex rozpoznał w napastniku swojego byłego współnika, którego nie raz już wyrolował.

– Greg... – wyszeptał do niego Alex. Ścisnął zwisający z szyi medalion z rewersem banknotu jednodolarowego, a drugą dłoń wyciągnął, jak na pojednanie. – Greg, przyjacielu...

– Ta, przyjacielu... – Uzbrojony mężczyzna splunął z odrazą. – Powodzenia w zaświatach – warknął. – Wiesz... Pozdrów tam Alicję. Moją martwą żonę... z kulą w głowie.

Rozległ się głośny strzał.

II. GREG

Greg jak zahipnotyzowany przyglądał się ciału. Jakby analizował kształt dziury w czaszce denata. Porównywał ją z tą ze skroni swojej małżonki. Wszak w tamtym przypadku użył mniejszego kalibru, zaledwie 6,35 milimetra. Pocisku wystrzelonego z ulubionej broni Jamesa Bonda, Walthera PPH. Greg wciąż trzymał go za paskiem od spodni. Natomiast w przypadku Alexa sobie nie żałował. Zaopatrzył się na tę okazję w konkretną giwerę. Model Glock 21 z kalibrem 11,43 milimetrów. Prawdziwe cacko. Broń poręczna, lekka i – co najważniejsze – niezawodna.

Cóż powiedzieć – Greg miał słabość do broni, podobnie jak do samodzielnego wymierzania sprawiedliwości. Może to wpływ nadmiaru pochłoniętych w dzieciństwie komiksów o superbohaterach i obejrzanych filmów akcji? Ale to już nie miało żadnego znaczenia.

Usłyszał wycie policyjnych kogutów. Groźnie spojrzał po chowających się nielicznych przechodniach. W filmowym stylu powiódł w ich kierunku trzymanym gnatem. A co? Ten ostatnie raz nie będzie sobie żałował. Włożył lufę pistoletu do ust i poczuł chłód metalu na podniebieniu. Palec wskazujący zastygł.

Jednak Greg odkrył, że wcale nie śpieszyło mu się żegnać ten świat. Wczuwał się w swoje ostatnie chwile. Ostatnie zaczerpnięte do płuc oddechy. Ciepło promieni słonecznych na twarzy. Kiedy dowiedział się, że Alex ukradł

mu jego patenty, a do kompletu posuwał żonę, własna śmierć wydawała się wybawieniem. Lecz teraz, gdy dokonał słusznej zemsty, poczuł ulgę, a wraz nią...

– Pchęprzyć to – wybełkotał z lufą w ustach. Zdecydował ostatecznie, by nacisnąć ten cholerny spust.

Nastąpił potężny rozbłysk oślepiającego światła.

Nagle kompletnie zaskoczony Greg zorientował się, że znajduje się pośrodku ukwieconej polany. Oniemiał z wrażenia i opuścił broń, po czym przyjrzał się z zaciekawieniem nowemu otoczeniu. Czyżby wystrzelił i zginął? Umarł? I gdzie znalazł się teraz? Greg nigdy nie był wierzący. Jako malec, z polecenia matki, uczęszczał jednak do niedzielnej szkółki. Więc coś niecoś słyszał już o Bogu. Poczuł się naprawdę dziwnie.

Zapobiegawczo padł na kolana.

– Panie! – krzyknął w przestrzeń z przesadnym oddaniem. Poza szumem wiatru, nikt nie raczył udzielić mu odpowiedzi. Skonsternowany spojrzał na broń trzymaną w dłoni. Dyskretnie wcisnął ją za pasek i zasłonił czerwonym swetrem, w który był ubrany. – Żywię nadzieję, że Pan... nie zauważył...

Po krótkiej przerwie raz jeszcze spróbował nawiązać kontakt z siłą wyższą:

– Panie! Wybacz wielkiemu grzesznikowi! – Tym razem Greg wydarł się ostentacyjnie, unosząc w górę ramiona. W połączeniu z ugiętymi kolanami, musiał wyglądać nad wyraz przekonywująco. Cóż powiedzieć: skoro już się stało i trafił do zaświatów, wypadało wybłagać siłę wyższą o azyl na tym niebiańskim pastwisku, by nie trafić do piekielnego kotła.

Ale tego dnia Pan nie był najwyraźniej w nastroju do rozmowy i wyniosłym milczeniem postanowił wymierzyć karę klęczącemu grzesznikowi.

Aby przerwać impas, Greg w końcu wstał. Otrzeptał dżinsy z przyczepionych do nich chwastów. Powziął zamiar, by udać się w kierunku stojącego niemal w zenicie słońca. Jeżeli czekała go tu jakaś sprawa do załatwienia, mądrym wydawało się podążać w stronę światła. Może wtedy Pan spojrzy na niego łaskawszym okiem. Na razie trochę zawodził.

Zanim Greg opuścił polanę, wziął głęboki wdech. Do jego nozdrzy wdarł się oszałamiający zapach kwiatów. Zakręciło mu się w nosie. Przeklął i głośno kichnął. Widocznie alergia na pyłki nie opuściła go nawet po śmierci. Pomasował się po twarzy i poczuł na niej wciąż piekącą ranę. Ślad po tipsach. Ostatnia pamiątka od zastrzelonej żony. A skoro ona także nie żyła, to może natknie się i na nią niebawem? I na Alexa?

Piekło. Raptem wizja wieczystej smażalni wydała się całkiem atrakcyjną alternatywą w porównaniu do spędzenia reszty życia po życiu w towarzystwie zamordowanych przez siebie istot.

Z tą myślą Greg przesunął językiem po podniebieniu. Zaskoczony nie wyczuł spodziewanej dziury, smaku krwi, niczego niezwykłego. Pomyślał o swoim mózgu przeszytym kulą. Przyłożył dłoń do czaszki w poszukiwaniu dziury wylotowej.

– Nie ma... – zasępił się rozczarowany. Brak rany w głowie dość kiepsko korespondował z alergią i świeżą szramą na policzku. Zaraz jednak zaśmiał się w duchu. Logika? Tym miał na ten czas się zajmować? Przecież właśnie wykitował!

Z polany Greg wkroczył w mroczny las. Jak na jego gust – zdecydowanie zbyt mroczny. Do tego nieziemsko zachwaszczony, ze zbutwiałymi pniakami na ziemi. Innymi słowy wkroczył w dzicz. Niebawem do przesłodzonego śpiewu ptaków dołączyło złowieszcze porykiwanie

przerośniętych bywalców tej puszczy. *Może jeleni?* – zadumał się Greg, myśląc tak naprawdę o niedźwiedziach i to grizli. By pokrzepić się na duchu, położył dłoń na kolbie Glocka. Pomasował też rękojeść drugiej broni. Mimo wszystko w niebie – czy też w jego bliskich okolicach, nie był pewien – lepiej czuł się uzbrojony. I to byłoby arcygłupie, gdyby kolejny raz miał dzisiaj zginąć. Tym razem nie z własnych rąk, a z łap lub racic czyhającej na niego zwierzyny.

Po pewnym czasie dotarł do brzegu łagodnie płynącej rzeki. Rozczarowany nie zauważył nigdzie miejsca na przeprawę.

– Panie... Dlaczego dla twych sług nie raczyłeś pomyśleć w swym miłosierdziu o moście? – powiedział i spojrzał w górę. Jak na złość niebo skrył parasol z koron drzew. Tym też Greg postanowił usprawiedliwić brak kontaktu z Panem.

Podążając z biegiem rzeki, po potknięciu się, sprawdził w niej temperaturę wody. W skali między ciepłą, a zimną ocenił ją na lodowatą. A zrzędzeniem losu nie zabrał do zaświatów ani ręcznika, ani jedwabnego szlafroka.

Przemoczony i zziębnięty, po brnięciu na przemian to w błocie, to absurdalnie wysokiej trawie, wydostał się na ogołocone ze zboża pole. Zaciekawiał go ten widok – czyżby zbliżał się do cywilizacji? Dość już miał dziewiczej przyrody, z którą kontakt, poza ożywczą wentylacją płuc, przyprawiał go o zawrót głowy, umęczone forsownym marszem stopy i wściekły głód, bez pardonu świdrujący pusty żołądek.

Coraz bardziej sfrustrowany egzystencją po zadanej sobie śmierci, Greg dotarł do stogu siana. Oparł się o niego, by zaczerpnąć nieco tchu przed dalszą drogą.

Od ruszenia dalej jednak coś go powstrzymało. Z przeciwnej strony stogu siana dobiegły go rozkoszne pojękiwania, stęknienia i czułe szepty. Dłuższy czas z przyjemnością nasłuchiwał. Dźwięki niczym z filmu dla dorosłych przykuwały jego uwagę zdecydowanie mocniej niż uprzednia świergotliwość ptaków.

Zadumany spojrzał na chylące się ku zachodowi słońce, na krwawą mozaikę plam na z lekka zachmurzonym niebie. Czyżby Pan poddawał go próbie? Jeżeli wyjrzy za stóg siana... co tam zastanie? Kopulującą w najlepsze parę, Alicję z Alexem? I co dalej? Życzyć im szczęścia, pomyślności? Czy może dołączyć do igraszek? *A może sam się jeszcze do nas przyłączysz, Panie?*

Greg poczuł gorycz w gardle. Mimowolnie wyciągnął broń i z gniewnym wyrazem na twarzy poszedł sprawdzić źródło namiętnych dźwięków.

Ukazał mu się niedwuznaczny widok. Klasyczna pozycja misjonarska. Lecz naprężające się plecy mężczyzny nie należały do Aleksa. Podobnie rozchylone uda, grube niczym kłody, nie przywodziły na myśl smukłych nóg jego zamordowanej żony. Zerknął w bok – leżała tam sterta ubrań. Były to szare, workowate szmaty, zszyte z lnianych materiałów grubą nicią. *Panie, czyżby ku twej chwalebnej czci odbywał się tu średniowieczny festyn?*

Greg miał dość. W końcu zabił dziś swoją żonę i byłego przyjaciela. To do czegoś zobowiązywało. Gdy para tonęła już w ostatnich rozkosznych jękach, beczelnie wypalił w powietrze.

Kochankowie odskoczyli od siebie i zszokowani wbili wzrok w Grega. Ten odpowiedział im rozbijającym uśmiechem.

Po dłuższej chwili, nagi, zdenerwowany mężczyzna, warknął gniewnie:
– Szatan!

– Wybacz... – odezwał się ironicznie Greg. – Myślałem, że skończyłeś.
– Wskazał lufą pistoletu jego krocze. Naraz spoważniał. Zasyłane słowo, określające go mianem diabła, padło po francusku. To był drobiazg, ale nie było nim to, co miejsca mieć nie powinno – Greg to zrozumiał.

– Szatan! – ponownie wyrzucił z siebie mężczyzna. Ale tym razem nie poprzestał na wrzasku. Poderwał się na równe nogi. Chwycił wbite w siano widły i ustawił się w pozycji bojowej.

– Spokojnie... – odparł Greg, niezmiernie dumny z brzmienia własnego francuskiego. – Tylko spokojnie... Nikt tu nikomu nie chce zrobić krzywdy... Prawda? – Cofnął się o krok i jednocześnie wymierzył w mężczyznę broń. *Wybacz. Panie, ale... nie mam w planach dziś znowu zginąć.* Szukając wyjścia z niezręcznej sytuacji, Greg zwrócił się do kobiety – kasztanowłosej niewiasty o pełnych kształtach.

– Porozmawiajmy... Wyjaśnijmy sobie wszystko, po kolei, spokojnie i bez nerwów...

– Zabij! Zabij i spal! Nieczysty! – syknęła kobieta, po czym podskoczyła do swego kochanka.

– Nie pomagasz... – rozczarowany Greg pokręcił głową.

Wtem, zmobilizowany przez kobietę mężczyzna z widłami, ruszył do bezpardonowego szturmu.

– Stój! – wrzasnął Greg i wyciągnął przed siebie trzymany oburącz pistolet. Uzbrojony kochanek zawahał się. Wpatrywał się z zaciekawieniem w lufę na wysokości swego torsu.

– Zabij! Nieczysty! Zabij i spal! – dopingowała usilnie kobieta.

Padł strzał. Jeden, precyzyjny, w samo serce. W komorę, lewą czy prawą, może preksioneek, nieważne. Zgon nie nastąpił natychmiast. Trafiony mężczyzna padł w konwulsjach tam, gdzie dopiero co niemal przeżył orgazm.

Greg spojrział w górę. Rozczarowany nie dostrzegł na ciemniejącym niebie żadnej chmurki zasłaniającej jego bezwzględny czyn. *Wybacz, Panie! To był... wypadek...*

Kobieta podbiegła do martwego już kochanka. Zauważyła ranę w jego piersi. Spojrzała na sprawcę tego zajścia i przerażona pognęła od niego byle dalej, wyrzaskując coś opętańczo o jakichś czarnych mocach.

Greg westchnął. Pomyślał, że to nie tak miało wyglądać, a zabijanie powoli wchodziło mu już w nawyk. Usiadł przy zwłokach i zamyślił się, tym razem głęboko. Uderzył się kolbą pistoletu w głowę raz, drugi i trzeci. Alicja, Alex, on jako Greg... Czy oni w ogóle istnieli poza jego wyobraźnią? Najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy, czymkolwiek by ona nie była – przed chwilą zabił człowieka. U stóp miał tego niezaprzeczalny dowód. Do tego sprzątnął Francuza, którego rozumiał. Jak to sensownie wytłumaczyć? Czyżby to on sam był szaleńcem? Czubkiem, któremu udało się zbiec z zakładu, zwędzić broń, błąkać się po lasach, a potem wystrzeliwać mizdrzących się do siebie festyniarzy? Niestety, jego dawna tożsamość naukowca z Kalifornii nie wytrzymała próby brutalnego zderzenia z twardą ścianą faktów. *A więc jestem francuskim czubkiem, Panie* – podsumował zde gustowany.

Schował gnata i udał się w ślad za kobietą. Uczynił to z myślą, że pora odnaleźć resztę festyniarzy. Bo co mu pozostało prócz wpakowania sobie kulki w łeb? Otóż nic poza tym, co właśnie postanowił: odda się w ręce władz.

W nocy, przy akompaniamencie wycia wilków, dotarł do gospodarskich zabudowań. W żadnym z okien nie zauważył światła. Odprowadzany ujadaniem psów skierował się ku najbliższym drzwiom.

Gwałtownie przyśpieszył i zmienił kierunek, gdy zorientował się, że okoliczne zwierzęta nie były uwiązane i chmarą rzuciły się ku niemu. Wbiegł przez uchylone drzwi szopy i błyskawicznie je zamknął. Uśmiechnął się kwaśno na wspomnienie festyniarzy. Nabrał podejrzeń, że właśnie trafił w ich legowisko.

Wycieńczony natłokiem wrażeń – rzeczywistych i wyimaginowanych – choć nie wiedział, które brać za które, legł w sianie. Wiercił się długo i niespokojnie aż w końcu zasnął.

Obudziło go pianie koguta. Zanim Greg otworzył choć jedno oko, zastanowił się, kim jest i co tutaj robił. Tutaj... czyli właściwie gdzie? Te pytania – miał z nimi nie lada problem. Otworzył oczy, lecz widok go rozczarował: snopy światła nieśmiało przebijające się przez nierówno zbite deski.

Naraz pianiu kogutów ustąpiło gdakanie kur i rzenie koni oraz... angielskie okrzyki. Ktoś zaczął szarpać za drzwi szopy. *Lincz* – to słowo przeszło Gregowi jak burza przez głowę.

Poczuł się niepewnie. Osunął się w głąb swego sanktuarium, a na twarz nasunął dodatkową warstwę siana.

Raptem rozległa się głośna komenda i drzwi zostały wyrwane z zawiasów.

Greg w napięciu obserwował wkraczających do szopy mężczyzn. Weszło ich troje, każdy z obnażonym mieczem i w kolczudze. Ich ostrza na oślep nurkowały w pozostałych stogach siana.

Nieoczekiwanie rozległ się przeraźliwy, kobiecy wrzask. Zamaskowany mężczyzna spoglądał osłupiały, jak ze swego ukrycia karaska się kobieta. *Od kiedy tu była? Jak się tu znalazła? I dlaczego festyniarze dźgnęli jedną ze swoich?* – zastanowił się Greg.

Dwaj mężczyźni pochwycili zranioną w udo biedaczkę, a trzeci zdejmował swoje druciane spodnie. Wtedy Grega olśniło – nie był świadkiem odbywającego się festynu! Ktoś tu kręcił historyczny film!

Gdy aktorzy przygotowywali się do inscenizacji brutalnego gwałtu, ukryty obserwator odprężył się na dobre. Przeczeka ten ujmujący kadr, a potem wymysknie się cichaczem. Skoro uprzedniego dnia zastrzelił kogoś z ekipy filmowej, lepiej było się nie wychylać. Choć z drugiej strony, może wcale nie zastrzelił? Być może uczynił to tylko w swej schizofrenicznej wyobraźni. Zwichrowany umysł ostatnio regularnie płatał mu przeciw figle. Tak naprawdę jego osoba nieszkodliwego świrusa była niczym łza, zapewne kryształowo czysta. Pokrzepiony tymi wnioskami dopingował aktora wciskającego się między zakrwawione, kobiece uda.

Jednocześnie Greg rozejrzał się za kamerami. Tych z jakichś powodów nie dostrzegł. Za to objawiło mu się coś innego, za to bardzo niepokojącego: czwarty aktor z płonąca pochodnią w dłoni, idący na koniec szopy.

– Dobra, wygraliście, macie mnie! – Greg bez namysłu poderwał się na równe nogi. Scenariusz obrał bowiem bardzo niepokojący kierunek. A Greg nie miał zamiaru stać się pośmiewiskiem YouTube jako przypadkowo podpalony gap na planie filmowym. – Kamera stop, cięcie! – zarządził. – A wy... – zwrócił się do aktorów w druciakach, przygotowujących się do sceny gwałtu. – Nie przeszkadzajcie sobie. Na mnie już czas. – Uśmiechnął się głupkowato. Aktorzy zastygli w bezruchu i przyglądali mu się uważnie. Wręcz

pożerali go wzrokiem, jakby nigdy nie widzieli tak niemodnego, czerwonego swetra i dżinsowych spodni.

W trakcie tego niewątpliwie zepsutego kadru, puszczone przez nich kobieta, wijąc się, podczołgała się do Grega. Zanosząc się płaczem, kurczowo oplótła ramionami jego nogi, jakby widząc w nim swego wybawiciela. Greg spoważniał – coś w tym wszystkim, czego doświadczał, przekraczało ramy absurdu. Spojrzał uważniej na leżącą u swych stóp półnągą, krwawiącą kobietę ze skołtunionymi włosami. Wpatrywał się w jej przerażone oczy. Coś w nim nagle pękło. Przeżuł w ustach przekleństwo. Dobył w dłonie spluwy i obnażając wściekle zęby, żalosnej parze aktorzyń wpakował po kulce w kostropate twarze. Padli na ziemię jak rażeni piorunem. Pozostali dwaj zamarli.

– Dotarło, kto tu rządzi ?! – wydarł się dziko Greg. – Na kolana, psy! Albo... walić to! – Padły kolejne dwa wystrzały, tym razem w krocza pozostałych mieczników. Gdy mężczyźni wili się w kałużach własnej krwi, ranna kobieta dopadła jednego z nich i wpiła mu się zębami w ucho. Szarpnęła głową i wypluła kawałek odgryzionej małżowiny. Okaleczony mężczyzna wrzeszczał po angielsku w niebogłosy, zaś pobliski strzelec uśmiechnął się ujmująco do pastwiącej się nad nim kobiety. Odpowiedziała mu podobnym grymasem twarzy, uwidaczniając krzywe, zabarwione na czerwono zęby.

– Kamera start! – Greg kopnął w brzuch bliższego sobie miecznika, tego z kompletem uszu. Obu dobił strzałem w skroń i wyszedł z szopy na zewnątrz. Oślepiło go słońce, a gdy przysłonił ręką czoło, ujrzał kilkunastu rycerzy na koniach. Żadnych wozów transmisyjnych, żadnych gapiów, żadnych kamer.

Lecz Gregowi nie robiło już różnicy, czy kręcono tę rzeź, czy też nie. Czy był to rzeczywisty świat, czy wymaginowany. Wypełniła go na wskroś żadna destrukcji siła. Poddał się jej; stał się aniołem śmierci, panem

zniszczenia. Idąc przez zabłocone podwórze, raz za razem wypalał do rycerzy. Zapanaował chaos – konie stawały dęba, zrzucając jeźdźców i wlokąc za sobą zastrzelonych nieszczęśników. Zaś Greg kroczył pomiędzy zbrojnymi niczym posłaniec śmierci, sprzedając im jej ostatnie pocałunki.

W końcu rzeź dokonała się. Jej autor zastygł pośrodku zrytego końskimi kopytami podwórza usłanego stertą krwawych trupów. Uśmiechnął się lekko, wpatrując się w zgaszone ślepie uśmierconego przypadkiem rumaka. Jedno nie ulegało bowiem wątpliwości – to co się właśnie wydarzyło, spodobało mu się.

I najwyraźniej nie tylko jemu. Z okolicznych domostw wychynęli ludzie w łachmanach. Ustawili się wokół niego w nierównym kręgu i oddali mu czołobitny pokłon.

Nie minęło wiele czasu, a Greg raczył się porządnym, wiejskim jadłem. Na nierówno ciosanym stole, któremu nie dane było zaznać lakieru, rozłożono przed nim chyba wszystko, co znalazło się w okolicznych spiżarniach. Oprócz wyjątkowo smrodliwych serów, niespodziewany bohater zakosztował krwistego salcesonu, zawiesistej polewki z pokrzyw i podejrzanego pasztetu, zdaje się ze ślimaków, po którym dostał mdłości. Ponadto na stole zagościł okazały dzban cierpkiego wina.

Zaspokajający głód Greg milczał. Nie odzywał się, odkąd wystrzelał całą tę rycerską hołotę. Lecz przypatrując się obsługującym go z oddaniem łachmaniarzom sam bacznie nadstawiał uszu.

– Niech Archanioł Gabriel skosztuje czegoś jeszcze! – zwróciła się do niego po francusku postawna gospodyni, śmierzdząca cebulą.

– Tak, niech czuje się jak na ostatniej wieczerzy... Ekhem... to jest wieczerzy, jak z naszym Panem Najwyższym w niebiańskiej krainie – poprawił

się staruszek w rogu pomieszczenia. Inni obecni w izbie, w sumie kilkanaście osób, także nie omieszkali podzielić się błyskotliwymi uwagami.

– Zabić tylu Anglików, tych diabłów wcielonych!

– Co myślicie? Potrafi też uzdrawiać chorych?

– Wzmacniać jurność? Najświętsza Panienko... Ja tak tylko... W imię Ojca...

– Może wskrzesza zmarłych? Moja ciotka akurat...

– Dajcie mu odpocząć. Zstąpił z nieba, to daleka droga.

– Skrzydła? Gdzie ma skrzydła?

– Może są gdzieś w szopie?

Wreszcie Greg objedzony do nieprzytomności wstał do stołu. Głośno beknął i zapytał:

– Gdzie tu można spocząć?

Jedna z gospodyń ukloniła się nisko i dumnie wskazała drogę do sąsiedniej izby. Greg zapragnął choć na moment wyrwać się z tego oblędu. Zostać sam, odpocząć.

Okazało się, że lichej pokój przyszło mu dzielić nie tylko z kornikami. Spod pierzyny na łóżku wystawała kobieca głowa, a po chwili spod kołdry wychyliły się jeszcze dwie młode białogłowy. Na ten widok gospodyni srogo zmarszczyła nad wyraz gęste brwi.

– Archaniele Gabrielu, czy je przegonić? – zapytała.

– Niech zostaną... – Przybysz poczuł, że musi się natychmiast położyć.

– Pobłogosławię je, namaszczę... Przede wszystkim namaszczę...

Kiedy Greg spoczął między gorącymi, młodymi ciałami, musiał coś przed sobą przyznać. Otóż szaleństwo, którego doświadczał, niesło ze sobą rozliczne pozytywy. A skoro tak, to po co mu tak zwany „normalny świat”?

Pogładził dłońmi dwie pary dziewczęcych, jędrnych piersi, po czym utonął w cielesnej rozkoszy.

Grega zbudziło pukanie do drzwi. Zaniepokojony otworzył oczy. Po kilku upojnych godzinach spędzonych w objęciach trzech wiejskich dam, nawet nie zorientował się, kiedy usnął.

Widok podniszczonego pomieszczenia utwierdził go w przekonaniu, że nie nadszedł kres szaleństwa. Po wybudzeniu z męczącego snu, w którym śnił, że jest Alexem, włożył dłoń pod łóżko – tam, gdzie wcześniej odłożył spodnie, a w nich ukrytego Walthera i Glocka, coraz bliższych mu przyjaciół. Pod opuszkami palców wymacał chłodną stal i odetchnął z ulgą.

– Wejść! – krzyknął.

W otwartych drzwiach ukazała się znana mu już gospodyni. Miętosząc nerwowo brudny fartuch z nabożną czcią oświadczyła:

– Templariusze.

– Temp... Co...? – Greg zastygł z krzywym uśmiechem na twarzy.

– Ludzie wieści szybko niosą, jak wiatr z obory smród. Może w tym miejscu się zbuduje nawet kaplicę jaką, albo nawet katedrę.

– Ta, zaiste... święte miejsce... – Greg wspomniał niedawną, krwawą łaźnię i niewinną orgię zaraz potem.

– Szlachetni panowie czekają...

– Templariusze...? – Kobieta skinęła twierdząco głową. – Zaraz przyjdę...

Greg został sam. Jego kochanki w międzyczasie gdzieś się ulotniły. Dokładnie sprawdził broń. Analizował, ile mogło zostać pocisków w magazynkach. Ubrał się i przeszukał kieszenie spodni. Wyciągnął plastikowy

kalendarzyk, gdzie na rewersie widniał obraz mapy świata. Obok spluw było to wszystko, co posiadał.

Wkrótce pojawił się w izbie, w której miał już okazję się posilić. Za zastawionym jadłem i napitkami stołem zastał trzech mężczyzn w białych kamizelkach z wymalowanymi na nich czerwonymi krzyżami. Mimo, że nieznajomych chroniły kolczugi, Greg przekonał się już, że nie była to wystarczająca osłona przed jego bronią. Ale i tak – w razie spodziewanych kłopotów – zdecydował się dla pewności strzelać w głowę.

Bez zaproszenia usiadł naprzeciw przybyszy. Skoncentrował się na tym pośrodku, starszym już mężczyźnie z połyskującą, łysą czaszką i długą, siworudą brodą. Nieznajomy spojrzał Gregowi w oczy i nieśpiesznie oznajmił:

– Mów prawdę... W obliczu Zakonu Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona.

– Ubogich...? – Greg wlepił wzrok w parę połyskujących pierścieni na palcach mężczyzny. Ten cynicznie się uśmiechnął

– Hugo de Montbard. To moje imię. Wspominałem u ubóstwie rycerzy zakonu, nie ich mistrzów...

– Jasne... Może kaszanki? Polecam, krwista...

– Do rzeczy – uciął mężczyzna. – Wieści niosą, że zabiłeś ponad tuzin Anglików.

Greg wychylił się nieco do tyłu i spuścił dłonie pod blat stołu. Wciśnięte za pas spluwy aż prosiły się, by znów ich użyć.

– Może i posłałem do piachu bandę narwanych Angoli. I co? – rzucił prowokacyjnie.

– To zależy... – Hugo de Montbard oparł łokcie o blat stołu i złożył dłonie w piramidkę. *Gesty i słowa jak z posiedzenia zarządu* – skwitował

scenkę Greg. Jego rozmówca ciągnął dalej: – Życie Anglików, czy Francuzów, czy też jakiegokolwiek inne życie... Samo w sobie nie jest nic warte. Wszystko zależy od... okoliczności...

– Okoliczności...

– Owszem... – Hugo de Monthbard spojrział wymownie na swoje pierścienie i dobrotliwie się uśmiechnął. – Każda śmierć jest dobra, jeżeli może się przysłużyć dobru. Innymi słowy... jeżeli można się na niej wzbogacić. W przeciwnym razie... – Pokiwał głową z dezaprobatą. – Zaś ty... podobno posiadasz coś cennego i zabójczego zarazem... – Greg zrobił przesadnie zdziwioną minę. – Chcę zobaczyć Palec Boży! – dobitnie wypalił templariusz.

– Boży co...?

– Boży Palec Gniewu, którym poraziłeś na śmierć Anglików. Pokaż mi go, natychmiast! Czy wyrażam się jasno?!

Wszyscy zebrani w izbie, w tym tłum obszarpanych gapiów, zastygli w oczekiwaniu. Do Grega dotarło, że smętne negocjacje zerwano, a w ich miejscu pojawiło się proste ultimatum.

Powoli podniósł nad blat stołu Walthera PPK. Złożył broń z pietyzmem między proponowaną uprzednio kaszanką, a bochnem chleba. Cały czas uważnie spoglądał templariuszowi oczy. Na ten moment zapewne nikt nie zdziwiłby się, gdyby nagle rozstały się niebiosy i doleciał z nich dźwięk anielskich, chóralnych śpiewów.

Tymczasem Hugo de Montbard ostrożnie podniósł broń za lufę. Dość nierozważnie zajrzał do jej środka i powąchał.

– Niech Palec Boży wskaże śmierć – zażądał.

– Kogo mam załatwić? – Greg widział idealnego kandydata tuż przed sobą.

– Załatwić, ty? Nie... Nie ty. Ja, Palcem Bożym.

Greg powiódł wzrokiem po przerażonych obliczach wieśniaków, świadków tego, czego już dokonał swoją bronią. Zwrócił się do gospodyni, której ściągnięte brwi nadawały jej twarzy wielce strapiony wyraz.

– Przynieś jajko – oznajmił, ale zaraz zmienił zdanie. – Albo nie... kurę... Przynieś kurę... Jak się bawić, to się bawić!

Nie minęło wiele czasu, a kobieta powróciła do izby z okazem drobiu.

– Postaw ją na krawędzi stołu – polecił Greg. Skazana na śmierć kura spoczęła na sugerowanym miejscu.

Greg położył swoją dłoń na dłoni templariusza trzymającego Walthera. Pokierował palec Hugo de Montbarda na spust i przykrył własnym palcem. Dziwnym zrządzeniem losu pomoc w egzekucji drobiu kosztowała go więcej samozaparcia, niż posłanie w zaświaty Angoli, Alexa czy byłej żony.

Wtem rozbrzmiał głośny strzał i wszystkich obecnych przeszedł dreszcz. Wszystkich poza kurą, którą – dla odmiany – przeszzyła kula.

W powietrze wzbilo się kilka piór i zwierzę padło bez życia na blat stołu. Greg zasępił się. Oceniał, że przedstawienie wyszło trochę żałośnie. Szczerze pożałował, że jednak nie użył Glocka. Na szczęście okazało się, że Hugo de Montbard był odmiennego zdania. Dokonał dokładnych oględzin zastrzelonej z zimną krwią kury. W szczególności zajął się wnikliwą analizą dziury po kuli, w którą nie omieszkął zagłębić palca. Po chwili włożył Walthera za własny pas lufą do góry. Szeroko rozłożył ramiona, jeszcze szerzej się uśmiechnął i krzyknął radośnie:

– Ja, mistrz Hugo de Montbard, odnalazłem Pański Palec Gniewu! To Święty Graal! Witamy w Normandii! – Wykonał zapraszający gest w kierunku Grega, a następnie drzwi wyjściowych.

Wobec takiego obrotu sprawy Greg odsapnął z ulgą i wyszedł z templariuszami na zewnątrz.

Przywitały go wymierzone w niego widły i płonące nienawiścią kobiece oczy. Rozpoznał je – należały do kobiety, której ustrzelił kochasia.

Greg błyskawicznie chwycił pozostałą mu broń, gdy raptem poczuł w klatce piersiowej dławiący ból. Spojrzał ze zdziwieniem na widły wbite w swoje ciało. Usłyszał krzyki wzburzonego templariusza, wymachującego Waltherem i wrzeszczącego coś o płonącym stosie. Naraz wszystko ustało.

Umierał.

III. ARLEN

Światło zniknęło tak nagle, jak się pojawiło. Spięta do granic możliwości kobieta wciąż ścisnęła w rękach widły. Z ich nierównych, pordzewiałych zębów z wolna skapywała krew.

Arlen zakrztusiła się pyłem i rozejrzała trwożnie. Wypalona słońcem i najprawdziwszym ogniem ziemia sięgała wszędzie dookoła. Pośród niekończącego się morza piasku kobieta dostrzegała jedynie spalone kikuty uschniętych drzew, trochę kamieni i gruzu.

Na odsłoniętej skórze dłoni i twarzy poczuła istny żar. Odnosiła wrażenie, że leje się on zarówno z nieba jak i wnętrza ziemi, wyzierał dosłownie zewsząd.

Brat Albert mówił prawdę, opisując mieszkańcom Azincourt piekielne wizje.

Zabiła.

Dopuściła się najcięższego grzechu, a teraz po wsze czasy będzie pokutować. Smażyć się w piekielnych ogniach, gdzie czarty zadawać jej będą niekończące się katusze. Nie tylko jej zresztą – doświadczy ich także Andre, którego śmierć pomściła, a który wraz z nią dopuścił się grzechu cudzołóstwa. Splamieni grzechem będą wspólnie kroczyć przez ognistą krainę upiorów. Ich skóra będzie skwierczeć, a ich spalone mięso odejdzie od kości.

– Andre! – wrzasnęła rozpaczliwie kobieta. Puściła widły i padła na kolana wprost na parzący piasek. – Andre! Przeklinam cię! Ciebie i mnie! Nas! Zepsutych i złych! – Skryła twarz w dłoniach i gorzko zapłakała. Lecz sąd pański już się nad nią dokonał. Trafiła w diabelskie czeluści. Nie pozostało jej już nic poza brzemieniem cierpienia, które przyjdzie jej na zawsze dźwigać.

Arlen chwyciła widły. Podpierając się nimi jak niedołężny starzec, ruszyła, byle dalej od tarczy palącego niemiłosiernie słońca. Mijała wyniszczony krajobraz, gdzie nie dostrzegała nawet plugawych insektów czy jakiegokolwiek przejawu życia. Otaczała ją martwa pustka. Kobieta zaintonowała słowa modlitwy, jednak błyskawicznie zaschło jej w gardle. Nie była w stanie swobodnie wypowiedzieć żadnego słowa. Pewną ulgę poczuła dopiero z nastaniem nocy, której chłód dał jej tak upragnione ukojenie. Legła krzyżem na schłodzonym piasku. Modląc się w myślach patrzyła w rozgwieżdżone niebo, starając się zagłuszyć pragnienie wody. Marzyła, by zasnąć i już nigdy się nie obudzić.

Po przerywanym śnie, pełnym koszmarnych wizji, w których była mężczyzną w stalowo-szklanym mieście, Arlen wsparła się na widłach. Jak

uprzedniego dnia szła, jakby uciekając przed podążającym jej tropem ognistym słońcem. Podczas pokutnego marszu każdy krok stawał się istną gehenną. Nie miała butów, więc piekło przyszło jej przemierzać w nieszczelnych onucach, przez które wdzierał się palący żywym ogniem piasek. Raz za razem Arlen starała się przełknąć suchą ślinę w gardle. Ocierała dłonią spękane usta. Gdy zaczęła gorączkować, dostrzegała w malignie efemeryczne postacie, swych znajomych i krewnych. Wytykali ją palcami. Ją, grzesznicę. Szydzili z niej i piętnowali.

Naraz ukazało jej się ozdobione soczystą zielenią oczko wodne, cudowne niczym rozgrzeszenie. Porwała się do niego resztką sił. Na miejscu pośpiesznie zanurzyła usta w wodzie. Wypełnił je parzący piach. Wypluwając go z odrazą, rozejrzała się wokół przerażona. Woda i zieleń zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Na powrót otaczał ją tylko wymarły krajobraz.

Arlen podźwignęła się ociężale i powlekła dalej. Ona, grzesznica, niegodna, aby otrzymać choć kroplę wody.

Zbliżał się wieczór, gdy dotarła do miejsca, gdzie wznosiły się wysokie budowle z płaskiego kamienia, przypominające klasztory. Pomyślała o mieście demonów. Czy i ono zaraz także zniknie?

Z tymi myślami obojętnie wkroczyła między niezwykle zabudowania. Wzdrygnęła się, gdy zobaczyła ludzkie sylwetki. Obleczone w brudne, podarte stroje, równie żałosne jak ona postacie, skulone pod płaskimi ścianami. Zauważyła, że jedna z istot pozbawiona była nogi, inna posiadała odrażające czyraki na twarzy. Kolejna wyciągnęła do niej dłoń, w której brakło palców.

Potępieni na wieczną zgubę. Arlen odwróciła od nich spojrzenie. Poczula dławiące ukłucie w piersi na myśl, że już na zawsze pozostanie jedną z nich.

Wtem zamarła. Przez dłuższą chwilę nie mogła się poruszyć. Mimo suchości jej oczy zaszkliły się, po czym wypełniły łzami wzruszenia. Arlen jak urzeczona wpatrywała się w zawieszony na podłużnej wstędze imponujących rozmiarów napis. Choć była niepiśmienna, rozumiała uwidocznioną na nim treść.

„Czyścić”.

– Panie, nie jestem godna... – wyszeptała i padła krzyżem na ziemię. Wezbrała w niej wszechogarniająca fala szczęścia i poczucie całkowitego oddania Bogu. Uczucie, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Natchniona uniosła głowę. Zobaczyła wyciągniętą ku sobie otwartą dłoń, należącą do postarzałego mężczyzny w białej szacie. Chwyciła ją. Nieznajomy uśmiechał się przyjaźnie do Arlen.

– Nazywam się Andre. Andre Montbard – oznajmił językiem bardzo zbliżonym do tego, jakim posługiwały się angielskie diabły. Lecz w tej uświęconej chwili język był bez znaczenia. Najważniejsze, że jakimś cudem Arlen go rozumiała i sama potrafiła w nim mówić. – W Czyścicu zwą mnie Mesjaszem – dodał starzec. – Zanim zadam ci kilka pytań, chodź ze mną. Napijesz się czystej wody.

Kobieta uklękła i usłużnie zwiesiła głowę. Następnie wstała i z widłami pod pachą, niczym znamieniem przypominającym jej o skazie grzechu, poszła w ślad za Mesjaszem.

Nastał już późny wieczór. Droga, którą podążała Arlen, obfitowała w inny niż dotychczas krajobraz. Na wysokich palach migotał ujarzmiony w szklanych pojemnikach ogień rozjaśniający okolicę. Jego poświata otulała szeregi kamiennych domów. Było tu czyściej, a oblicza napotkanych ludzi,

choć często także kalekich, nie były naznaczone cierpieniem. Tak Arlen dotarła do wielkiej kadzi wypełnionej wodą.

– Możesz pić śmiało – odezwał się Mesjasz. – To z głębinowego źródła, bez zbędnych domieszek w postaci chemii, prawie bez radiacji. – Przejechał nad taflą wody niewielkim przedmiotem, z którego dochodziły ciche trzaski.

Po ostatnich dramatycznych przejściach, Arlen miała w sercu wyłącznie czystą wdzięczność i bezgraniczną ufność. Z nabożną czcią nabrała w dłonie trochę wody. Celebrowała tę chwilę, jakby przeźroczysta ciecz pochwycona w ręce była uświęcona. Łapczywie wlała sobie płyn do gardła, powtarzając tę czynność kilka razy.

Kiedy ugasiła pragnienie, uklękła przed Mesjaszem. Pragnęła usłyszeć jego polecenia. Wykona je bez cienia wahania, bez zbędnej zwłoki. Byle tylko nie wygnano jej z Czyścica, jawiącego się niemal rajem po ostatnich trudach.

– Pokory ci nie brak, jak widzę... – skwitował jej zachowanie starzec. – Nie dziwię ci się. Poza nielicznymi miejscami, takimi jak to, na świecie istnieje wyłącznie piekło Apokalipsy. Każdy, kto z niego przybywa, gotów jest zrobić wszystko, byle tam nie wracać. – Spojrzał uważnie na kobietę i zapytał władczo: – A ty? Jesteś gotowa zrobić wszystko, by tu zostać?

– Tak! Tak! – odparła zdecydowanie.

– Dobrze. Zatem... Jeżeli chcesz pozostać w lepszej części naszej społeczności, musisz udowodnić swoją przydatność. Musisz wmurować własną cegielkę w odbudowę cywilizacji, którą tu odtwarzamy. – Głęboko westchnął i zaniósł się paskudnym kaszlem. – Kim byłaś przedtem? – zapytał, gdy duszności ustąpiły.

– Przed czym...? – niepewnie zapytała Arlen.

– Oczywiście przed nastaniem tego całego piekła... – Mesjasz wykonał obszerny, kolisty ruch ręką.

– Byłam...

– Tak?

– Byłam grzesznicą... – Arlen spuściła wzrok.

– Ech... – Siwowłosy starzec machnął lekceważąco ręką. – Sądziłem, że podobne tobie fanatyczki wyzdychały już dawno na pustkowiach. Rozczarowujesz...

– Błagam... – Kobieta złapała za rąbek białej szaty rozmówcy.

– Błagania, prośby, modlitwy, pobożne życzenia, zaklinanie rzeczywistości... Nie tego nam trzeba! Zapewne na przestrzeni setek mil nikt nie posiada tego, co my! Największego skarbu, na dodatek w takiej ilości, czyli wody. Do tego zbudowaliśmy elektrownię. Pracujemy nad wdrożeniem do użyteczności całych segmentów przemysłu. Przed Wielkim Bum znajdowała się tu stara huta metali. Uruchomiliśmy ją. Położyliśmy tory do pobliskiej kopalni, gdzie w skałach skryte są niewiarygodne skarby. Nieustannie się rozwijamy. I wiesz co? – Mesjasz warknął podejrzliwie. – Nie potrzebujemy tutaj darmozjadów, darmopijców, a już na pewno nie szpiegów, którzy zechcą nam odebrać nasze dobra. Co ty na to?

Arlen nawet nie zauważyła, gdy obok niej ustawiło się dwóch mężczyzn. Z przerażeniem dostrzegła za ich pasami przedmioty przywodzące na myśl Palec Boga. Nic z tego nie rozumiała. Nic poza tym, że nie da się wygnać z Czyścica za nic. Mimowolnie oparła dłoń na odłożonych na bok widłach.

– Panie... – Z jej zwilżonych ust dobył się trwożny szept, nie wiadomo do kogo skierowany.

– Daj jej spokój, Święty... – Przy grupce zgromadzonej przy zbiorniku wodnym pojawił się kolejny mężczyzna. Znajdował się w kwiecie wieku i zamiast prostych, białych szat, jak pozostali, odziany był w czarny, dość obcisły strój. – Te twoje fabryki i mechaniczne zabawki całkiem przysłoniły ci prawdziwe wartości! – kontynuował przybysz. Podszedł blisko Arlen i przyjrzał się jej z zaciekawieniem. – Ile masz lat? – zapytał.

– Lat...? Nie wiem... Około dwudziestu trzech wiosen...

Przybyły mężczyzna uśmiechnął się z przekąsem i zwrócił się do Mesjasza:

– Więc nasz kwiatusek mógł zakwitnąć już po apokalipsie... Co my tu mamy... Zdrowe, długie i nieprzerzedzone włosy. Żadnych widocznych oznak choroby popromiennej, poparzeń. Na pierwszy rzut oka wszystkie kończyny. Założył się, że w buzi również komplet zadbanych zębów...

– I co z tego? – rzucił zniecierpliwiony Mesjasz.

– Ano to... że ona może skrywać w sobie równie cenny dar co woda! Może być płodna!

– Marzyciel – parsknął Mesjasz, jakby usłyszał świetny dowcip. – Lepiej przygotuj się do swojej samobójczej misji, Dziki. Jeżeli nasz kontakt z placówki Lab sprzedał nam prawdę, musimy tam natychmiast wyruszyć. Tam może tkwić sekret przetrwania naszego gatunku, nie w jej jałowym łonie. – Wskazał na klęczącą kobietę.

– Zrobi się. Wóz już praktycznie gotowy. Zabieram ze sobą Ditri, Mózgona i Mazgaj. – Ubrany na czarno mężczyzna, zwany Dzikim, obnażając żółte zęby, posłał zebrany uśmiech. Wziął Arlen za rękę, pomógł jej wstać i ruszył z nią w sobie znanym kierunku.

Arlen nie była zachwycona odprowadzeniem jej z dala od Mesjasza. Podobnie jak od pozostawionych przy zbiorniku wideł. Próbowala zrozumieć boski plan, którego była elementem, lecz nie potrafiła. Poddala się więc swej odrodzonej wierze. Posłusznie uczyni to, co każą istoty z Czyśca. Będzie pełna oddania i pokory, jak nakazywał w świętych naukach brat Albert.

Znalazła się z Dzikim w małym pomieszczeniu. Rozświetlał je zawieszony na suficie szklany pojemnik z ogniem w środku.

– Muszę ci się dokładnie przyjrzeć. – Mężczyzna z wymuszonym uśmiechem na twarzy położył dłoń na talii kobiety. Drugą ręką, dotykając wybruszenia w ścianie, czarami sprawił, że ogień u sufitu zaświecił żywiej. – Rozbieraj się, ślicznotko – zażądał Dzik.

Arlen już chciała spełnić polecenie, gdy naraz zastygła. Spojrzała na szkło z ujarzmionym płomieniem. Na odbitą w nim, zniekształconą sylwetkę mężczyzny. Zawahała się. A jeżeli Mesjasz poddawał ją próbie? Co, jeśli obnaży się jak ladacznica i przy wtórze odgłosu trąb z niebios, zostanie wygnana w piekielną otchłań?

– Nie kuś mnie! – warknęła. Cały czas patrzyła na krzywe, męskie odbicie w szkłe na tle płomieni. Przypominało demona. Tak, teraz była już pewna – to był demon i chciał, jak niegdyś Andre, sprowadzić ją na drogę plugawego grzechu.

– Daj spokój, tylko zerknę. Chyba chcesz zostać w obozie? Tylko ja mogę to załatwić. Do tego żywność, wodę... – Dzik wyraźnie starał się uspokoić, aż nie wytrzymał: – Dość tego. Chcę cię tylko obejrzeć! – Odwrócił kobietę i pchnął na blat stojącego pod oknem stołu. Przywarł do niej od tyłu i pośpiesznie ściągał z niej ubranie. Kobieta zaczęła się szamotać.

– Odejdź, w imię Pana! – wrzasnęła. Dziki zakrył jej usta ręką. Nagle syknął z bólu – ugryzła go! Odskoczył od kobiety i z grymasem bólu na twarzy ścisnął za niemal odgryziony serdeczny palec. Spojrzał z nienawiścią na Arlen. Zanim się zorientował, ta wyszarpnęła mu zza paska nóż i wbiła mu go w brzuch raz, drugi i trzeci. Kolejnych ciosów Dziki już nie czuł.

Arlen wypuściła z ręki nóż. Narzędzie zbrodni z brzdękiem upadło na kamienną podłogę. Kobieta złapała się rękoma za głowę. Co właściwie uczyniła? Kogo zabiła? Słusznie, czy nie? Kim była teraz w oczach Pana? Wszędzie znajdowała się krew. Na jej dłoniach, na ubraniu, wszędzie krew.

Zszokowana wyszła da podwórze. Dotarła do zbiornika wodnego i Mesjasza rozmawiającego z zebranymi tam ludźmi. Stała przed nimi w zakrwawionej szacie i czekała na sąd ostateczny, na wyrok w swej sprawie. Niebo, piekło, czyściec? Było jej tak słabo.

– Gdzie Dziki? – zapytał bez wiary Mesjasz, spoglądając markotnie na iście upiorny wygląd zakrwawionej kobiety. Ta stanęła w znaku krzyża i rozpostarła drżące ramiona. – Czyli się w końcu doigrał... – ciągnął Mesjasz domyślając się losu Dzikiego.

– Zaszlachtowałaś to jurne bydlę? – odezwała się entuzjastycznie młoda, towarzysząca im kobieta. Jej twarz pokryta była odrażającymi, czerwonymi bąblami na ogorzałej twarzy; na głowie miała przerzedzone, czarne loki. – Śmieć dupczył w obozie wszystko z cyckami, a nawet z jednym – wskazała na swoją częściowo zapadniętą klatkę piersiową. – W sumie... nie było to takie złe... Mimo to masz ode mnie całusa. Mów mi Dirti. – Kobieta wydeła rozchylone wargi, ukazując niekompletne uzębienie.

– To słodkie, że się tak szybko zaprzyjaźniłyście... – Mesjasz skrzywił się, pogłębiając na czole i tak już bogatą kolekcję zmarszczek. – Ale właśnie

straciłem najlepszego człowieka do wypadów na pustkowia. Kto i jak za to zapłaci?

– Niech jedzie zamiast Dzikiego. – Dirti przytuliła się do oszołomionej Arlen. Wsunęła język i polizała ją po policzku. – Widać potrafi o siebie zadbać, a to podobno jej – kopnęła leżące na ziemi widły.

– Chyba nie mamy dużego wyboru... Dostanie ode mnie niewielki kredyt zaufania. Ale w razie kłopotów... poświęćcie ją bez wahania.

– Wiesz, że i tak byśmy to zrobili. – Dirti wyszczerzyła zęby. – Nawet jakbyś zabronił.

Mesjasz machnął zniecierpliwiony ręką i obrzucił Arlen lekceważącym spojrzeniem.

– No! Wyduś coś z siebie? Pojedziesz z moją grupą? – warknął do niej.

– Tak, panie...

– Świetnie... Umiesz strzelać?

– Z łuku?

– Żartownisia... Nie mam na to czasu. Człowiek mimo wieku i tego, co przeszedł marzy, że z pustkowi dotrze tu mechanik, inżynier, a tu? – Na odchodne popatrzył na Arlen z pogardą. – Zostawiam ją tobie, Dirti. Idę do fabryki.

– A co z Dzikim?!

– Jak to co? Jak z każdym świeżym trupem, do kompostowni.

Arlen poczuła na swojej dłoni szorstki dotyk Dirti. Ta pomasaował ją z zaciekawieniem po skórze i pociągnęła ze sobą. Kobiety dotarły na plac, wokół którego mieściły się domy z równo ociosanych kamieni.

– Prześpisz się ze mną. – Dirti silnym kopniakiem otworzyła blaszane drzwi jednego z domostw. – Spokojnie, nie jestem lesbą. Tak tylko się

wyglupiam. Dostaniesz własny materac. Mimo wszystko miło będzie zasnąć u boku kogoś, kogo skóra nie przypomina jaszczurzej łuski.

Niebawem Arlen położyła się na czymś przypominającym derkę. Nie potrzebowała okrycia. W dusznym pomieszczeniu, gdzie się znalazła, mimo nastania nocy i tak było gorąco. Dirti poinformowała ją, że idzie zająć się ciałem Dzikiego. Gdy wróciła, czarami sprawiła, że zamknięty w szkłe u sufitu ogień zgasł. Zapadła ciemność. Arlen powoli zasypiała, powtarzając w myślach święte słowa modlitwy. Tym razem gorąco zwracała się do Najświętszej Panienki. Poznany Mesjasz, mimo swej wielkiej szczodroblewości, za sprawą której przyjął ją do Czyśca, budził pewien niepokój. Odnosiła wrażenie, że brat Albert opisywał go nieco inaczej.

Reszta istot, jakie tu napotkała, niewątpliwie przypominała upadłe anioły. Pasowały więc do opisu pokutujących grzeszników, teraz także i jej samej. Co za tym szło, należało wykonywać posłusznie polecenia, aż Pan w swym miłosierdziu zlituje się i wezwie ją do siebie, do nieba. Pomyślała, że zasłuży na to szybciej niż ta Dirti. Żywo przypominała zwykłą ładacznice i zapewne była nią w swym ziemskim życiu.

– Gotowi? – Dirti puściła rękę Arlen i wgramoliła się na górę czegoś nieokreślonego. Pozostałe dwie na placu osoby, z czymś na kształt pogrzebaczy w rękach, skinęły jej twierdząco głowami. – Rewelacja. Poznajcie nową. To... jaką masz ksywkę? – Cisza. – No, jak się zwiesz, gładkolica?

– Arlen...

– I świetnie. To jest Mózgon, nasz spec od przywracania życia w samochodowe wraki. – Dirti wskazała brudnym palcem na półnagiego, czarnego demona w sadzy, bez prawej nogi od kolana w dół. – A to Mazgaj. – Jej palec powędrował na skośnooką kobietę-chochlika z czarnymi, krótkimi włosami. Pod jej oczami widniały przywodzące na myśl łyzy głębokie bruzdy. – Obecna tu Arlen wypatroszyła wczoraj Dzikiego. Tak, tak, wiem. Należą jej się za to oklaski. Niniejszym wspomniana zabójczyni wskakuje na jego miejsce!

Arlen zauważyła, jak czarny demon obrzucił ją nieufnym spojrzeniem, a żółta postać mrugnęła do niej okiem. Następnie wzrok Arlen spoczął na podejrzanym przedmiocie na piaszczystym placu – wielkiej bryle powyginanego metalu, z ciemnymi kołami u spodu i czterema krzesłami u góry.

– To co? Ruszamy! Ładować się na brykę, moje radioaktywne robaczki! – krzyknęła entuzjastycznie Dirti. Współ z czarnym demonem i kobietą-chochlikiem zajęła siedzenia na czymś co określiła bryką. W dłonie ujęła sterczący z niej okrągły przedmiot.

Pełna pokory Arlen – przezwyciężając lęk i z imieniem Pana na ustach – zasiadła na ostatnim, wolnym krześle. Z widłami w dłoniach znalazła się koło Mazgaj. Z przodu miejsca zajął czarny demon i Dirti. Ta z politowaniem spojrzała na ściskane przez Arlen narzędzie.

– Tylko nie zrób tym komuś kuku – rzekła. – Zresztą... gnata i tak nie dostaniesz.

Naraz chrypliwym basem odezwał się czarny demon imieniem Mózgon:

– A co z prowiantem? Czeką nas konkretna przejażdżka.

– Ciocia Dirti zatroszczyła się o wszystko. – Kobieta położyła rękę na wciśniętej między swoje kolana skórzanej torbie.

Nagle spod góry żelastwa, na której wszyscy zasiedli, rozległo się jakby warczenie. W górę wzbiły się kłęby ciemnego dymu, a wraz z nim odpychający smród. Arlen przeżegnała się. Z tą chwilą coś, na czym spoczywali, ruszyło.

– Bryka, to wóz... – Arlen przypomniła sobie niegdysiejsze słowa Dzikiego i skojarzyła na głos dość oczywiste fakty.

– Ta... – przytaknęła leniwie Dirti. – Wóz.

– A gdzie... konie?

– Pod maską, dobrze ponad dwieście. Niezła maszynka.

– Nie zmieściłyby się... Nawet jeden...

– Wiesz, zabawna jesteś! Właściwie to skąd pochodzisz? Rozumiesz, zanim to wszystko pierdyknęło.

Przejęta Arlen nie odpowiedziała. Spoglądała z rozdziawionymi ustami, jak Dirti, najwyraźniej kierująca wozem, wyjeżdża z obozu na szarą, płaską jak lustro drogę. Bryka znacząco przyspieszyła, a Arlen poczuła we włosach gorący podmuch powietrza. Pozostali uczestnicy podróży założyli na twarze obszerne, trójkątne chusty. Dirti ponowiła pytanie nieco przytłumionym głosem:

– Skąd jesteś, skarbenku?

– Spod Azincourt... – Arlen spoglądała z przejęciem na wypiętrzone z pustynnej równiny rdzawe góry.

– Azincourt? To gdzieś w Europie? Gdzieś... na terenach islamskiego kalifatu? Mniejsza z tym. A góry milusie, co? Rzucają się w oczy? Ich

wnętrze też niczego sobie. Swoje musiałam tam odpracować. Cud, że nie zdechłam.

– Cud...

– Ta... Mesjasz wydobywa tam uroczy pierwiastek, skyryt, który miał odmienić cały świat. Cóż, nie zdążył. Ale przewodzący nam staruszek z obozu twierdzi, że jeszcze nic straconego. Stąd tak pochłaniają go te jego fabryki, industrialny maniak... I stąd ta nasza, co tu dużo gadać, samobójcza misja. A ty... nie jesteś zbyt rozmowna, co, laluniu?

– Milczenie jest cnotą...

– Ha! Za to cnotę ciężko jest stracić milcząc! O tak! Jeszcze! Jeszcze! Mocniej! Och!

– Pan błogosławi cichych...

– Nie jesteś rozmowna, ale jak już coś palniesz... Proszę o jeszcze.

– Niech stuli swój gładki pysk! – Czarny demon zazgrzytał zębami.

– Bo zaciukała ci kochasia? Daj spokój, on nie był bi, tylko takiego zgrywał. Tu każdy coś udaje, inaczej zalicza przedwczesny zgon.

– Zabrałaś na misję znajdę, która załatwiła jednego z naszych. O czym tu gadać?

– Z tobą, czarnuchu? Jak zwykle nie da się o niczym. Choć z Dzikim potrafiłeś nawijać coś o wazelinie. A co do naszego nowego nabytku, spokojnie... Zaufajcie mi, mam co do niej świetlane plany... – Dirti mrugnęła do współpasażerów.

Po całodziennej jeździe piekielnym wozem – napędzanym nie przez żywe konie, lecz najprawdziwsze ludzkie zło, występki i grzech – podróżnicy zatrzymali się na nocleg. Podczas przebytej drogi Arlen nie dostrzegła żadnych

innych potępionych istot, duchów, czy demonów. Cały ten zapomniany przez Boga świat, poza Czyśćcem, znaczyła wymarła, jałowa pustka.

W nocy wszyscy zasiedli wokół butelki z ogniem w środku. Dirti wyjęła ze torby kilka przedmiotów przywodzących na myśl sztabki miedzi. Każdemu podrzuciła po jednej sztuce.

– A teraz po zasłużonej puszcze z fabryki naszego Mesjasza – oświadczyła. – I... nie pytajcie, z czego to jest zrobione... – Na ziemi znalazła się także butelka z ciecżą. – Wodę racjonujemy. Po szklance na łebka. Jak was będzie suszyć, proponuję własne szczyny.

Arlen ochoczo ugasiła męczące pragnienie. Woda w gardle dawała jej większą przyjemność niż niegdysiejsze spożywanie hostii. Niewątpliwie kojąca ciecz była uświęcona. W tak przeklętym miejscu było to wielkim błogosławieństwem. Obserwując poczynania towarzyszy, Arlen otworzyła coś, co okazało się nie być sztabą metalu. W środku odnalazła jadalną papkę o zapachu wędzonego mięsa.

Zaburczało jej w brzuchu. Zagłębiła palce w miękkiej potrawie z jasnym sosem. Naraz znieruchomiała. A jeżeli to podstęp, następna próba? Rozejrzała się po pozostałych. Każdy był pochłonięty jedzeniem. Ona jednak policzyła dni tygodni. Wypadało, że dziś był piątek, a więc dzień bezmięsnego postu. Wielkim wysiłkiem woli odłożyła swoją porcję na ziemię. Uklękła i – aby zagłuszyć w sobie doskwierający głód – zaczęła żarliwie się modlić.

– Nie jesz? – burknął do niej ten, którego zwano Mózgonem. Arlen nie odpowiedziała. Nie była pewna, czy w ogóle należało z nim rozmawiać. On, po przedłużającej się ciszy, chwycił łąpczywie jej porcję i z miejsca począł wygarniać jej zawartość wprost do swego gardła. Arlen obserwowała kątem oka, jak popełniał grzech obżarstwa, łącząc go ze złamaniem świętego postu.

Czarny demon nie powinien powrócić do Czyścica. Powinien pozostać tu, w tym piekle!

Wtem światło ognia w butelce przysłonił jakiś cień. Czwórka biesiadników spojrzała w jego kierunku. Ukazała im się postać od stóp do głów owinięta bandażami.

– Mumie pustkowi! – wydarła się Dirti i porwała się na nogi. Zabandażowana postać zwała się na Mazgaj. Druga mumia wychynęła z mroku i chwyciła Mózgona za gardło. Arlen usłyszała za sobą szelest. W obliczu oczywistego zagrożenia pobiegła w okolice bryki, gdzie pozostawiła widły. Gdy do nich dopadła, chwyciła trzonek i błyskawicznie się obróciła. Zęby jej broni oparły się o brzuch zabandażowanego napastnika. Rozległ się donośny huk, podobny do tego, jaki pozbawił życia Andre. Arlen naprężyła wszystkie mięśnie i spojrzała przez ramię piekielnej istoty. Koło Mazgaj leżała na ziemi martwa mumia. Kolejna, uzbrojona w nóż, wciąż dusiła Mózgona. Do jego oprawcy z Palca Boga celowała Dirti. Kobieta wrzasnęła:

– Tylko spokojnie! Bez zbędnych ruchów! Bierzcie ścierwo swego martwego kumpla i życzę smacznego, mumiaki! – Ostrze noża lekko oddaliło się od gardła przerażonego Mózgona. – Grzeczna mumia, bardzo grzeczna, cholerna mumia... Teraz ty! – syknęła do Arlen Dirti. – Powściągnij swe mordercze instynkty, niewiasto.

Uzbrojona w widły kobieta zamiast posłuchać polecenia pchnęła zabandażowanego demona. Z tą chwilą ostrze noża przejechało po gardle Mózgona. Następnie dał się słyszeć grom gniewu z Palca Boga.

Trzy martwe postacie padły na ziemię. Mazgaj i Dirti popatrzyły pytająco na Arlen.

– To były bestie... pomioty szatana! – Kobieta z widłami dźgała jak w amoku zabandażowane zwłoki u swoich stóp.

– A on!? – Dirti wymachując Palcem Boga, wskazała nim na trupa Mózgona.

– Powinien pozostać w piekle. Był czarnym demonem!

– Może jeszcze zginał, bo był kuternogą, co?! No to zostaliśmy bez mechanika...

– Zostaliśmy oczyszczeni!

– Stul pysk, wariatko! – Palec Boga został wymierzony wprost w Arlen.

– Zabieraj się na tyły wozu i nie chcę cię już dziś oglądać, rozumiesz?! Jak zobaczę twoją gładkolicą facjatę, dostaniesz w nią chropowatą kulkę! Nie żartuję! – Już spokojniej dodała... – Z Mazgaj zajmiemy się ciałami...

– Powinny spłonąć.

– Powiedziałam! Won!

– Co się tak ciskasz? – Mazgaj po raz pierwszy zabrała głos. Dirti zwróciła uwagę na Mózgona.

– Trup zeżarł dwie puszk. Czyste marnotrawstwo.

Arlen udała się na wyznaczone jej pokutne miejsce. Choć została skarcona, odczuwała wewnętrzne uniesienie. Zabiła, ale nie było kogo! Została pogromczynią demonów! Czyżby realizowała tym samym zamysł Pana? Zesłał zabójcę jej kochanka, karząc go za grzech cudzołóstwa. Pokazał jej, czym jest kara. I pokierował ją ku oczyszczeniu plugawych zaświatów. Przejechała dłonią po plecach. Czy to możliwe, że wkrótce wyrosną jej białe, anielskie skrzydła? Możliwe, że zamiast z widłami zstąpi niedługo na ziemię jak Archanioł Gabriel?! Z mieczem sprawiedliwości i w lśniącej zbroi, jak opisywał go brat Albert!

Jednak gdy położyła się, by zasnąć, natchnione myśli odeszły. Zastąpił je nienasycony głód, który aż wyżerał jej od wnętrza pusty jak wydmuszka żołądek. Zza bryki unosił się nieznosnie nęcący zapach pieczonego mięsa, ludzkiego mięsa...

Nazajutrz Arlen została zbudzona kopniakiem w tyłek.

– Pobudka, najświętsza panienko – rzuciła drwiąco Dirti.

Współ z Mazgaj, która zajęła miejsce czarnego demona z przodu, pojechali po gładkiej nawierzchni. Rozpoczął się kolejny upalny dzień.

W pewnym momencie Dirti wsunęła do wnętrza bryki niezwykle płaski, połyskujący krążek.

Złowrogi warkot bezkonnego powozu został zagłuszony przepięknym, kobiecym śpiewem. Wtórował mu dźwięk niezwykle, niebiańskich instrumentów. Kobiety na przednich krzesłach zaczęły poruszać się rytmicznie w takt płynącej muzyki. Co raz wykrzykiwały słowa zamkniętego w bryce śpiewnego anioła.

– I pojedę z tobą na grań świata! Poszusujemy z niego w gwiezdą daaal!

Arlen mocniej ścisnęła widły. Muzyka była tak ujmująca, aż ścisnęło jej serce. Jak można było więzić anioła w bryce napędzanej grzechem?! Mazgaj i Dirti powinni podzielić los czarnego demona! Tak nakazywał jej głos Pana w obliczu sprofanowania świetlistej istoty!

Arlen ustawiła trójząb wideł na wysokości pleców Mazgaj.

Raptem Dirti sprawiła przez dotknięcie wozu, że śpiewny anioł znacząco ściszył głos. Także akompaniująca mu muzyka przycichła. Niewątpliwe były to czary. Używanie czarcich, złych mocy, za które powinien czekać stos!